

Kirył Bułyczow - Silniejszy od zebra i słonia

- Miszeńka, jest do ciebie list! - pisnęła redakcyjna sekretarka, bielutka puszysta istotka, celnie przezywana Pisklęciem.

Misza Stendal zmarszczył czoło. Siedział u niego ze skargą emeryt, prowadzili poważną rozmowę o wodociągach, emeryt zwracał się do Miszeńki z szacunkiem, traktował z imienia ojca, a sposób, w jaki zwracało się do niego Pisklę, był zupełnie nie na miejscu.

- Proszę położyć na biurku, Antonino Panfilowna! - powiedział Misza.

Pisklę zapłonilo się od takiego afrontu i wyszło obrażone stukając obcasikami. Misza westchnął i zwrócił się do emeryta:

- Proszę, niech pan mówi dalej!

A sam zerknął na list. Był to list prywatny.

Wielki Guslar. Redakcja gazety "Guslarski Sztandar", red. M. A. Stendal.

Ale najważniejszy był adres nadawcy. Stendal przestał nawet słuchać emeryta, tylko potakiwał i czekał, kiedy wreszcie będzie mógł przeczytać list. Adres nadawcy brzmiał następująco: Powiat guslarski, leśnictwo Zabłocie, Terencjusz Arturowicz Zajka.

Terencjusz Zajka był starym znajomym Stendala, przedstawicielem rodziny utalentowanych wynalazców. Przed trzema miesiącami Zajka przyjechał do miasta samobieżnym rosyjskim piecem swojego wynalazku i wtedy Stendal napisał błyskotliwy esej, który potem - w skróconej wersji - przedrukowała gazeta wojewódzka.

Stendal od dawna marzył o wizycie w domu Zajków i tylko czekał na zaproszenie. I oto jest list.

W końcu emeryt wyszedł. Misza od razu rzucił się na list, rozdarł kopertę i przeczytał, co następuje:

Witaj, drogi przyjacielu, Michale Balzak!

Słowo "Balzak" było starannie wykreślone, a nad nim napisano "Stendal". Terencjusz wiecznie zapominał, z którym z wielkich pisarzy Misza ma zaszczyt dzielić nazwisko. Roztargnienie, jakie można samorodnemu geniuszowi wybaczyć...

Pisze do Ciebie Terencjusz Zajka, jeżeli jeszcze pamiętasz, kto to jest. Spokojnie u nas, przyroda zaczyna, budzić się do życia x zimowego snu, chociaż do wiosny jeszcze daleko. Okres zimowy był dla naszej rodziny mocno wypełniony pracą. Trzeba przygotować się do lata, do zwalczania leśnych pożarów, brudnicy mniszki, wyścielnika jesionowca i turystów. Musimy zajmować się dokarmianiem zwierząt, dbać o sprawy bieżące, a przy tym niemało czasu poświęcamy na działalność wynalazczą. Jak wiesz, Misza, nasz tata, Artur Iwanowicz, mój brat Wasylj i ja skłonni jesteśmy do rozmyślań. Dwa razy przyjeżdżali dziennikarze, szkoda, że Ciebie z nimi nie było. W stosunkach z obcymi ludźmi zachowujemy należyty dystans, bo niektórzy z nich są zwykłymi łowcami sensacji. Piec też w porządku, nie skarżymy się. Poprzednie trzy miesiące poświęciliśmy naukom biologicznym. Coś tam udało się nam osiągnąć. Gdyby Cię to zainteresowało, wpadnij do nas w sobotę albo niedzielę. Czekamy z niecierpliwością! Adres znasz.

Twój oddany przyjaciel Terencjusz

Podróż autobusem do Zabłocia trwa półtorej godziny, a z Zabłocia do leśniczówki idzie się leśną drogą godzinę, oczywiście jeżeli nie trafi się jakaś okazja.

Kiedy otepiały po długiej jeździe i z lekka przyduszony panującą w autobusie duchotą Stendal wysiadł, już na niego czekali.

Był piękny, mroźny marcowy dzień i wszystko skrzyło się w słońcu. Liliowe cienie bezlistnych drzew kładły się na srebrzysty śnieg, a pośrodku placu stał wielki, bielony. - ledwie go było na bieli śniegu widać - rosyjski piec. W piecu trzaskał ogień, z komina unosiła się strużka dymu, a obok pieca stał Terencjusz Zajka we własnej osobie, w ciemnym garniturze, pod krawatem i w błyszczących jak lustro butach.

- Hej! - ucieszył się dziennikarz. - Terencjusz! Skąd się tu wziąłeś? Przeziębisz się!

- Witaj, Misza - odpowiedział Terencjusz. - Ja po pana. - Przez placyk przechodzili ludzie, biegały po nim dzieci, ale nikt nie zwracał uwagi na rosyjski piec, którym przyjechał Terencjusz. W okolicy przywykli już do dziwactw rodziny Zajków. Ze względu na zdolności i nienaganne prowadzenie cieszyła, się ona powszechnym szacunkiem.

W historii ludzkości można spotkać genialnych wynalazców, którzy czasami zamykają się w swoich pracowniach, gdzie w ciszy i samotności szykują zgubę wszystkiemu, co żywe, a czasami od tej samotności wariują. Ale w wypadku Zajków sprawa wygląda zupełnie, ale to zupełnie inaczej. Ta spokojna rodzina składa się z Artura Iwanowicza, jego- synów Wasylja i Terencjusza, a także z żony Wasylja, Kławdii. W codziennym życiu rodzina ta niczym się od innych rodzin nie różni. Terencjusz i Wasylj ukończyli w Zabłociu średnią szkołę, odbyli służbę wojskową, pracują, studiują zaocznie na Akademii Rolniczej. Wasylj będzie w tym roku bronił pracy dyplomowej. Artur Iwanowicz nie ma wyższych studiów wojna

przeszkodziła. Jest jednak bardzo oczytany i ma talent do języków. W leśnej głuszy nauczył się angielskiego, francuskiego, japońskiego, hindi, sanskrytu, łaciny i paru innych. Poliglotyzm Artura Iwanowicza służy szlachetnym celom - Artur Iwanowicz czyta gazety i literaturę naukową. Wasylj i Terencjusz to wierni współpracownicy ojca, a poza tym - złote ręce. Działając w zgodnym kolektywie dokonali wielu wynalazków, które są bardzo nie na rękę wszystkim, instytutom naukowo-badawczym zarówno w kraju, jak i za granicą. Kłowa w tym zespole pełni rolę zdrowej opozycji i mądrej myśli krytycznej. Jeżeli wyrazi się o nowym pomysle pozytywnie, można oczekiwać dynamicznego rozwoju tego pomysłu. Jeżeli coś nie wzbudziło aprobaty Kławdii, należało to raczej odrzucić.

Ale działalność Zajków ma też pewien minus - mianowicie mało komu jest znana. Przyczyną tego jest zbyt skromność całej rodziny. Czasem nawet rozumowali - oczywiście błędnie! - w sposób następujący: jeżeli nam udało się to wynaleźć, to na pewno ktoś już to przed nami wynalazł w dużym mieście.

Terencjusz odebrał z rąk gościa ciężką teczkę z gościńcami i pokiwał głową:

- Ależ po co się było wykoshowywać, Misza...

Stendal usadowił się na przeznaczonym do spania miejscu, okutał nogi kozuchem, a Terencjusz podrzucił drew do ognia. Piec uniół się nieco nad ziemią na poduszce powietrznej i lekko się przechylił. Zapachniało dymem. Terencjusz siedział z przodu, zwiesiwszy nogi, i kierował zgrabnie wyrzeźbionymi z drzewa dźwigniami.

Piec jechał miękko, jakieś czterdzieści na godzinę, nie więcej. Jodełki uderzały go ciemnymi łapami gałęzi, wesołe wiewiórki wybiegały na drogę i machaniem puszystych ogonów pozdrowiały leśniczego.

- O! - wykrzyknął Stendal. - Popatrz!

Na skraju drogi stał niedźwiedź brunatny w kolorze pomarańczowym. Niedźwiedź skrzyżował łapy na brzuchu i ryczał kiwając głową.

- Ładny, co? - zapytał Terencjusz, przyhamowując.

- Ładny? Przecież ten niedźwiedź jest pomarańczowy! - Jasne, że pomarańczowy! Widzę, nie jestem daltonistą. Terencjusz cisnął w niedźwiedzia obwarzankiem, zwierzak złapał poczęstunek i udał się w głąb lasu.

- Przyświecały nam dwa cele - wyjaśniał Terencjusz dodając gazu. - Po pierwsze, kontrola nad wielkimi drapieźnikami. Widać go z daleka, chcesz, to obserwujesz, chcesz, możesz kontrolować liczebność.

- A po drugie? - Pomarańczowa plamka mignęła w prześwicie między pniami i znikła.

- Po drugie, wytworzenie nowych futer. Zobaczysz, mamy jeszcze dwa zielone wilki.

- Wspaniale! - krzyknął Stendal. - I kolor się nie spiera?

- Kolor jest naturalny. Innych nie trzymamy. A jeżeli chodzi o to, czy wspaniałe, czy nie, to w rodzinie są zdania podzielone.

- Dlaczegoż to?

- A dlatego, że taki niedźwiedź musi jeść. Na samych jagodach nie przeżyje, a teraz wygląda w lesie jak sygnał ostrzegawczy. Musiał się więc zwrócić do ludzi o pomoc. Dokarmiamy. Albo jeżeli wziąć zielone wilki...

Nagle Stendal zobaczył, że za piecem biegną z wyciągniętymi szyjami i wyprężonymi jak struna ogonami dwa zielone wilki. Widok był jeszcze bardziej obłądny niż pomarańczowy niedźwiedź.

- Oto one!

- One, oczywiście. Nie bój się, nie gryzą. Lecą na obiad. I rzeczywiście - wilki minęły piec i popędziły dalej.

- Latem to taki wilk ma dobrze, najlepsze tradycje maskowania. A w zimie wygląda jak plama na śniegu. Też trzeba je było zaprowiantować.

Takimi to rozmówkami skracali sobie drogę.

- A czemu ty, Terencjuszu, jesteś w samym garniturze? - zapytał Stendal. - To też jakiś wynalazek?

Domyślał się, że w niebieskim garniturze Terencjusza są wszyte jakieś elektryczne nitki albo tworzy się wokół niego pole siłowe.

- Od dzieciństwa - odpowiedział Terencjusz - mamy zwyczaj oblewać się zimną wodą. Tata zawsze nas krótko trzymał. Wasylj to przedtem przereźbel sobie wycinał i się kąpał, ale teraz Kława mu zabroniła.

Za bardzo splatało się w Zajkach to, co postępowe i naukowe, z tym, co zupełnie zwyczajne.

Piec wjechał w otwarte wrota.

- Proszę wybaczyć! Czym chata bogata. Niech pan skosztuje naszego prostego domowego jadła - powiedział Artur Iwanowicz, zapraszając do uginającego się od jadła stołu.

Ładnietka Kławdia, ubrana w szerokie dzinsy i haftowaną w wielkie kwiaty koszulę, spłoniła się zmieszana, kiedy Stendal pochwalił potrawy - cielęcinę w galarecie, karczochy, krem malinowy, przecieraną zupę cebulową i inne osiągnięcia domowej sztuki kulinarnej.

- A ty się, Kława, nie pesz - powiedział Wasylj. Był bardzo podobny do młodszego brata - tak samo złotowłosa, szczupły i schludny. Gość oddaje ci sprawiedliwość. Nie ma się czego kępować.

Po deserze Kławdia podała mężczyznom kawę.

- Kawę hodujemy sami. W cieplarniach - powiedział Terenejusz. Uprawa hydroponiczna. Szkoda, że przyjechałeś tak wcześnie, ananasy jeszcze nie dojrzały. Pierwsze będą w kwietniu.

- Poślemy mu do miasta - oznajmił Artur Iwanowicz. - Niech się rozpieszczą witaminami.

- Serdeczne dzięki - odparł Stendal. Rozkoszował się przytulnością domu i wspinałą gościnnością Zajków. Od kominka ciągnęło ciepłem, nogi zagłębiały się w puszyste futra różnobarwnych zwierząt doświadczalnych leżące na podłodze. A w sercu czuł słodkie oczekiwanie nadchodzących cudów.

Artur Iwanowicz jakby czytał w duszy Stendala.

- Słyszeliśmy o panu, Misza, proszę wybaczyć, że tak się bezpośrednio zwracam, od Tereszki. Bardzo ciepło o panu mówi.

Misza spłonił się.

- I dlatego postanowiliśmy pokazać panu wyniki naszych badań. Niech pan sam zadecyduje, czy są już one godne opublikowania na łamach naszej prasy, czy lepiej jeszcze z tym poczekać.

- Jestem gotów! - Stendal poderwał się z miękkiego fotela. Rozpierała go żądza czynu.

Zajkowe wyprowadzili Stendala na zasypane śniegiem podwórze. Zmierzchało. Chwytał mróz. Słońce wisiało nad wierzchołkami sosen.

Za wysokim ogrodzeniem z siatki widać było kilka ciemnych wzgórków.

- Taa... - powiedział Artur Iwanowicz. - Przepraszam, ale sądzę, że to może pana zainteresować. Chodź tu, zabijako!

Jeden ze wzgórków poruszył się i wyciągnął długą szyję z dziobem na końcu. Ukazały się szklane ślepia, głupawo spoglądające na świat. Struś podniósł nogi i powoli, jakby robił wielką łaskę, zbliżył się do ogrodzenia. Struś wyglądał niecodziennie - sprawiał wrażenie, że ubrano go w puchate futro, tak gruba była warstwa piór (a może rzeczywiście futra?) - nawet nogi miał porośnięte! Czuł się na mrozie doskonale i trudno było uwierzyć w jego tropikalne pochodzenie.

Artur Iwanowicz poczęstował strusia cukierkiem, który został przyjęty z majestatyczną uprzejmością.

- Inne nie wstają - Artur Iwanowicz wskazał ręką pozostałe wzgórki, z których wysunęły się długie szyje i uprzejmie zwróciły głowy w kierunku ludzi. - Siedzą na jajkach. To nasze największe osiągnięcie, są mrozo odporne. Wiele nas to kosztowało, ale to, że nauczyły się wysiadywać jaja na śniegu, to ogromny sukces. Skrzyżowaliśmy z pingwinami. Wygląd zewnętrzny i rozmiary strusia, a obyczaje pingwinie.

Stendal odważnie wetknął rękę przez siatkę, poklepał ptaka po dziobie i omal nie stracił palca.

- Ostrożnie! - powstrzymał jego zapędy Wasylj. - Nie uznaje obcych! To nieposkromione ptaszysko!

- To znaczy - podsumował Artur Iwanowicz - pracowaliśmy na dwa fronty. Pierwszy widziałeś, to różnobarwne zwierzęta. A drugie zadanie, jakie przed nami stoi - kontynuował Artur Iwanowicz - to przystosowanie niektórych tropikalnych, że tak nawet powiem, egzotycznych zwierząt do naszych warunków.

- Wspaniale! - wykrzyknął Stendal. - Pozwoli pan, że o tym napiszę w naszej gazecie?

- Pisz, kochany - odparł Artur Iwanowicz. - Pisz. Pomożesz zwalczać trudności z wrażeniem.

Przecięli podwórze i ruszyli duktem.

- A teraz, jeżeli zechcesz, pokażemy ci doświadczenie w toku powiedział Artur Iwanowicz. - Nie do publikacji, tylko jako ciekawostkę.

Dukt kończył się na polanie. Znajdowała się tu zagroda, otoczona ciężkimi balami.

Pośrodku zagrody stał żubr, jakiego Stendal nie widział nawet w zoo. Był wyższy od Stendala, miał ze trzy metry długości i tępy, okrutny pysk. Przedpotopowy stwór. Co prawda w kolorze naturalnym. Misza, choć nie był tchórzem, cofnął się od ogrodzenia.

- Wzbudza szacunek, co? - zapytał Terencjusz. - Nazywamy go Belzebub.

Belzebub obejrzał sobie obecnych malutkimi złymi oczkami i zupełnie bez dania racji schylił łeb i zaszarżował. Bale, z których była zbudowana zagroda, drgnęły, a po całym lesie rozległ się potężny huk. Z drzew posypał się śnieg, poderwały przerażone kruki. Żubr nieco się cofnął - przygotowywał się do następnego ataku.

- Pierwotna siła - powiedział z szacunkiem Artur Iwanowicz. Był najmniejszy ze wszystkich, nawet mniejszy i niższy od Kławy, ale jedyny nie odskoczył, kiedy żubr szturmował drewnianą przeszkodę.

- Kława, jesteś gotowa?

- Tak.

- Pamiętaj, ostrożnie!

Coś się będzie działo, pomyślał Stendal.

Kława podeszła do ogrodzenia, oparła rękę o bal i lekko wskoczyła do zagrody.

- Stój! - wyrwało się Stendalowi. Ale nikt go nie poparł.

Żubr powoli odwrócił głowę, próbując pojąć swym małym mózgiem, kto śmiał naruszyć jego królestwo.

- Ty się, Misza, nie denerwuj. Nie jesteśmy potworami - uśmiechnął się Terencjusz. - Kochamy Kławę.

- Niech pan zwróci uwagę, przedstawicielu mass mediów - rzekł Artur Iwanowicz. - Oto widok godny obejrzenia.

Kława spokojnie czekała, aż żubr się do niej zbliży. A zwierzę cofnęło się, żeby nabrać rozpedu, i zaczęło kopytami ryc ziemię.

I nagle z głośnym rykiem żubr rzucił się na Kławę.

Dziewczyna stała prosto, kożuszek się jej rozchylił, czapeczka lekko zsunęła na bok.

Uciekaj! - błagał bezdźwięcznie Stendal.

Ale Kławoczka ani myślała uciekać. Dotknęła czubkami palców rogów pędzącego Belzebuba. Wydarzenia potoczyły się tak szybko, że Stendal miał ochotę wrzasnąć, jak przy oglądaniu w telewizji meczu hokejowego: "Powtórka! W zwolnionym tempie!"

A wszystko dlatego, że Kława, chwyciwszy żubra za rogi, nie tylko zatrzymała pędzący ogrom, ale i zupełnie niezauważalnym dla oka ruchem powaliła go na śnieg.

Stendal otrząsnął się z oszołomienia. Kława stała nad potężnym cielskiem i przytrzymywała drobną rączką głowę swego przeciwnika:

- Puść go? - krzyknęła.

- Puść, po co zwierzę upokarzać - odkrzyknął Artur Iwanowicz i wracaj tutaj, zanim się połapie.

- Już lecę! - Kława odeszła od żubra i lekko podbiegła do ogrodzenia. Żubr ani myślał się podnieść, leżał, mrugał oczkami i głęboko przeżywał. Zupełnie jak bandzior, któremu słuszny odpór dało niewinne dziecko.

Kławdia stała już obok mężczyzn.

- No i co o tym myślisz, Misza? - zapytał Terencjusz.

- Nic nie myślę - przyznał się Misza. - Ona wie, gdzie żubr ma wyłącznik?

Kława roześmiała się. Podeszła do dziennikarza, dotknęła cienkimi paluszkami jego piersi i w tym momencie Stendał poczuł, że unosi się w powietrze. Ziemia znalazła się gdzieś strasznie daleko, a do tego była jakaś krzywa. Tam, na dole, stali Zajkowie i szczyrzyli się w uśmiechu. A Kława jedną ręką trzymała Stendała nad głową i widocznie robiła to bez żadnych trudności, bo zapytała spokojnie:

- Misza, niech mi pan powie, czy to prawda, że do domu towarowego w Guslarze rzucili składane japońskie parasolki?

- Niech mi pani wybaczy, nie jestem zorientowany - wytwornie odkrzyknął z góry Stendał, choć sytuacja, w jakiej się znajdował, raczej nie skłaniała do wymiany poglądów na temat japońskich parasolek, zwłaszcza składanych.

- Opuść go, Kława - powiedział Artur Iwanowicz. - Już się przekonał. A w ten sposób nauka trąci tanim dowcipem...

Kława ostrożnie postawiła Stendała na śniegu.

- Chodźmy do domu - powiedziała. - Powinnam odpocząć.

Żubr powoli dźwigał się na nogi, odwracając głowę od ludzi, którzy tak okrutnie sponiewierali jego żubrzą godność osobistą.

- Kława, idź przodem z Wasylujem - zakomenderował Artur Iwanowicz. - Pamiętasz, gdzie leży glukoza?

- Sekundkę - powiedziała młoda kobieta - tu trzeba jeszcze coś uporządkować, a ja ciągle nie mam do tego głowy.

Zeszła z drogi i stanęła obok rosochatego pnia, tak wielkiego, że aby go objąć, trzeba by ze trzech chłopów.

- Ostrożnie, nie zniszcz sobie kożuszka - ostrzegął Artur Iwanowicz.

Kława leciutko rozchwiała pień, tak jak dentysta obrusza chory ząb, nim zabierze się do niego z kleszczami. Pień głośno zaskrzypiał.

- Połóż go tu, na skraju drogi - powiedział Wasyliej. - Potem go porąbię.

Kława wyrwała pień, ogłuszająco zapiszczały wyszarpywane z ziemi korzenie. Dziewczyna poturlała pień tam, gdzie wskazał Wasylj.

- No, już możemy iść - oznajmiła zapinając kożuszek.

Kława i Wasilj opuścili towarzystwo. Pozostali wrócili do białej izby i usiedli przed kominkiem.

- Jak ci się podobają, Misza, osiągnięcia Kławy? - zapytał Terencjusz.

- Z niecierpliwością oczekuję wyjaśnień - powiedział Stendal popijając z kubka kwas na ostudzenie emocji.

- To jasne jak słońce - odparł Terencjusz. - Trzeba tylko pomyśleć. A my, Zajkowie, bardzo lubimy myśleć...

Artur Iwanowicz kiwnął głową aprobująco.

- Zastanowiłeś się kiedyś, na jakiej zasadzie działają mięśnie? - No, kurczą się... I rozkurczają...

- To nie jest zasada - westchnął Terencjusz. - A zasada jest taka, jak w każdym silniku: spalają paliwo, wydzielają energię, wykonują pracę.

- No jasne - zgodził się - Stendal.

- Ano właśnie, czego tu nie rozumieć. Ty, na przykład, możesz podnieść dwadzieścia kilogramów.

- Więcej! - zaproponował Misza z oburzeniem.

- A sportowiec podniesie sto albo i dwieście. I dlatego hoduje na sobie taką masę mięśni, że aż strach patrzeć! Wszystko po to, żeby podnieść jakieś żałosne dwieście kilo. Jesteśmy głupio skonstruowani.

- W tym punkcie, Teresza - wybac, że się wtrącam - nie masz racji - błękitne oczy Artura Iwanowicza błyszczały. - Skonstruowani jesteśmy mądrze, tylko nasza maszyna ma ogranicznik. Żeby na dłużej starczyło paliwa. Mądry człowiek pięćdziesiąt kilogramów zwali sobie na plecy i przez cały dzień drepce. A paliwo w mięśniach spala się, glukoza znika, wytwarza się kwas mlekowy... O innych szczegółach nie warto wspominać, wybac, ale i tak ich nie zrozumiesz.

- Nie rozumiem - pokornie zgodził się Stendal.

- A jeżeli musimy zużyć na raz całe paliwo - rozpalić ognisko? Przecież mięśnie są do tego zdolne! Ich włókna są tak elastyczne i mocne, że ty, wybaczone, Stendal, nawet nie potrafisz sobie tego wyobrazić. Pamiętasz może szkolne doświadczenie: drażnisz łapkę żaby prądem i unosi ona wielki ciężar. Wyobraź sobie, żeśmy podrzucili mięśniom fosforan kreatyny, czyli zajęli ogranicznik. I niech całe paliwo spłonie w ciągu dziesięciu minut. Rezultat będzie imponujący!

- A co potem? - zapytał Stendal. - Przecież natura okrutnie karze tych, którzy łamią jej prawa!

- Popatrz, popatrz, jak się rozwinał! - ucieszył się Terencjusz. - Nie naigrawaj się z niego! - upomniał go Artur Iwanowicz. Zrób, co do ciebie należy, zaraz potem do łóżeczka, zażyj coś na wzmocnienie i przestrzegaj zaleceń. Cóż to by był za wynalazek, gdyby mógł człowiekowi zaszkodzić? Dopóki nie wynajdziemy środka wyrównującego szybko ubytek sił, nie będziemy puszczać naszego odkrycia w lud, nie obawiaj się!

- A kiedy zakończycie doświadczenia? - zapytał rzeczowo Stendal. Oczami duszy widział już artykuł, który rozślawi jego imię wśród całej dziennikarskiej braci.

- Nie spiesz się. To może trwać jeszcze rok, dwa. Albo wyjdzie nam wielki wygłup, albo...

- Strasznie żałuję, że nie wziąłem aparatu fotograficznego. - Jeszcze zdązysz!

Stendal nie słuchał. Wyobrażał sobie nowe, wspaniałe możliwości, jakie się otworzą przed ludzkością.

Bo przecież jeżeli w mózgu człowieka też są mięśnie, to można będzie w ciągu minuty wymyśleć to, nad czym bezskutecznie człowiek łamie sobie głowę całymi miesiącami. Co prawda, nie udostępnił obecnym swoich rozważań: nie był stuprocentowo pewny, czy mózg jest umięśniony.

- Jak sądzicie, kiedy będzie można napisać o waszych eksperymentach?

- Przyjedź w końcu lata, pogadamy. A co, strusie i futra nie nadają się do publikacji?

Stendalowi zrobiło się wstyd. Czuł się, jakby spostonował pozostałe wynalazki.

- Wcale tak nie myślałem! Obowiązkowo napiszę o waszych wspaniałych odkryciach!

Ale zagadnienie ogranicznika mięśni tak opanowało wyobraźnię dziennikarza, że myślenie o czymkolwiek innym sprawiało mu duże trudności...

Autobus przyjechał do Guslaru o północy. Stanął na placu i nieliczni pasażerowie wysiedli na skrzypiący śnieg. Stendal skurczył się z zimna, podniósł kołnierz i pospieszył do domu.

To był wspaniały dzień. Dzień wielkich odkryć i obcowania z niezwykłymi ludźmi. Minie miesiąc, dwa, Zajkowie przysła umówiony telegram. Wtedy Stendal z miejsca opublikuje w gazecie artykuł o antyograniczniku. Będzie pierwszym dziennikarzem na świecie... Taką

przewagę ma człowiek obdarzony zaufaniem przez wybitnych wynalazców. A póki co, trzeba napisać artykuł o gospodarstwie domowym leśników. I będzie tam promienny obraz odważnej i pracowitej Kławy...